

ETIENNE GILSON

Francja

NIEPOŻĄDANY TEOLOG*

Parę słów wyjaśnienia dotyczących tytułu tejże gawędy nie będzie chyba rzeczą zbyteczną. Temat nasunęło mi moje osobiste doświadczenie, lecz sądzę, że dzielę je z większością tych, którzy, gdyby spotkali św. Tomasza w innym świecie, pozdrowiliby go słowami, które Dante na początku *Boskiej komedii* skierował do Wergiliusza: „Ty jesteś mistrz mój, Ty moja powaga”.

Nic łatwiejszego do powiedzenia ani też bardziej satysfakcjonującego; na pierwszy rzut oka nic, co mogłoby stanowić najmniejszy problem. Ci, którzy mówią w ten sposób, są to najczęściej – tak jak ja – chrześcijanie, a nawet katolicy. Wiedzą więc, iż są członkami Kościoła, który wybrał Tomasza z Akwinu jako swego Doktora Powszechnego; ich osobisty ulubiony Nauczyciel jest jednocześnie tym, którego Kościół desygnował Nauczycielem wszystkich swoich wiernych, nie można więc życzyć sytuacji bardziej zadowalającej, a przecież na tym nie koniec. Wkrótce minie już wiek od daty, gdy papież Leon XIII polecił, aby doktryna Świętego była nauczana we wszystkich szkołach katolickich oraz aby żaden chrześcijański nauczyciel nie popełniał nieroztropności oddalania się w czymkolwiek od zasad głoszonych przez Świętego¹. Wreszcie, posunięcie nadzwyczajne i w pewnym sensie jedyne: z tejże decyzji doktrynalnej prawo kanoniczne uczyniło powinność niejako ustawową. W konsekwencji – katolicki nauczyciel ma obowiązek nauczania doktryny tomistycznej na mo-

* Tytuł oryginału: *Un théologien malvenu*, [w:] E. Gilson, *Les tribulations de Sophie*, Paris 1967, s. 17-35. Tłumaczony artykuł, stanowiąc fragment wymienionej książki E. Gilsona, jest publikowany w niniejszym tomie za zgodą wydawnictwa Librairie Philosophique J. Vrin – Copyright dla „Roczników Filozoficznych”, z. 1.

¹ Książka Gilsona ukazała się przed ćwierć wiekiem, dlatego też data, o której wspomina francuski filozof jako o bliskiej przyszłości, dla nas jest już przeszłością; chodzi tu bowiem o encyklikę Leona XIII *Aeterni Patris*, a wiek od jej ogłoszenia minął 4 VIII 1979 r. (Wszystkie przypisy opracował autor przekładu).

cy prawa kanonicznego; jest zobowiązany do bycia tomistą niejako „w imię Prawa”².

Te oficjalne zarządzenia nie dotyczą tych, którzy są tomistami z racji swego osobistego upodobania³. Ci ostatni bowiem nie tylko nie pojmują, iż można im nakazać, aby czynili to, co mają ochotę czynić, ani że można zmuszać do wyznawania doktryny, której studiowanie sprawia im radość, ale nie znoszą dającego się słyszeć powiedzenia, iż są tomistami, ponieważ papież im to nakazał. I wyznać należy, że na pierwszy rzut oka sytuacja jest trochę zabawna. Zdaje się, że są dziś kraje, w których panuje oficjalna filozofia, będąca filozofią władzy, administracji oraz szkolnictwa. Nie wiem, jaka jest dziś sytuacja w Rosji, ale wiem dobrze, że wówczas, gdy pojechałem tam w 1919 r., miejscowy św. Tomasz nazywał się Karol Marks. W kwestii filozofii i w paru innych należało być marksistą i nie można było być kimś innym. Taki stan rzeczy wydawał mi się trochę nudny na dłuższą metę. Wówczas, gdy z góry są znane odpowiedzi na wszystkie pytania, konwersacji brak niespodzianek. Można jedynie liczyć na brak refleksyjności, aby je sprowokować. Pamiętam – pewnego dnia, przejeżdżając pociągiem przez miasto Charków i przyglądając się temu, co z dworca było widać, powiedziałem machinalnie memu sąsiadowi, miłemu komisarzowi ludowemu, z którym podtrzymywałem trochę żenującą konwersację: „To bardzo duże miasto”. „Tak – odpowiedział – a zwłaszcza jest to miasto nowoczesne: mało kościołów, a dużo kominów fabrycznych”. Ponieważ jakiś zły duch mnie popychał, ja z kolei zacząłem: „Rzeczywiście, ale nie widzę dymu”. „Ach! – odpowiedział komisarz – przecież jest niedziela”. Wydawało mi się, że zboczył z linii partii, gdyż, ostatecznie, z jakiego to powodu kominy marksistowskie miałyby mniej dymić w niedzielę niż w inne dni tygodnia? Sądziłem jednak, że grzeczniej będzie nie tworzyć sytuacji dla komisarza kłopotliwej, z której byłby się zresztą łatwo wywinął, gdyż na wszystko miał odpowiedź, i to odpowiedź marksistowską. Przypominam sobie tylko, że po pięciu czy sześciu dniach podróży oraz indoktrynacji perspektywa każdej nowej konwersacji budziła zniechęcenie.

² Chodzi tu o decyzję Kodeksu Prawa Kanonicznego z 1917 r.; w kan. 1366, § 2 czytamy: „Philosophiae rationalis ac theologiae studia et alumnorum in his disciplinis institutionem professores omnino pertractent ad Angelici Doctoris rationem, doctrinam et principia, eaque sancte teneant [podkr. moje – R. W.-W.]”.

³ Te oficjalne zarządzenia są obecnie nieaktualne, albowiem od 1983 r. obowiązuje w Kościele katolickim nowy Kodeks Prawa Kanonicznego, w którym nie ma już nakazu trzymania się doktryny Akwinaty. Nowy Kodeks wymienia św. Tomasza *nominaliter* w kan. 252, § 3 jako przewodnika i wzór nauczyciela wnikającego w tajemnice zbawienia: „Należy prowadzić wykłady teologii dogmatycznej, oparte zawsze na słowie Bożym pisanym, łącznie ze świętą Tradycją, przy pomocy których alumni winni się nauczyć wnikać w tajemnice zbawienia, z w ł a s z c z a z a n a u c z y c i e l e m św. T o m a s z e m, [...] [podkr. moje – R. W.-W.]”.

Myśl, iż niektórzy przedstawiają sobie sytuację tomizmu w Kościele jako analogiczną do sytuacji marksizmu w krajach komunistycznych, niejednokrotnie napawała mnie lękiem. Gdyby tak było, byłoby to rzeczywiście straszne i – przynajmniej dla mnie – nie do zniesienia, ale czy tak jest rzeczywiście? Czy z doktryną tomistyczną w Kościele jest podobnie jak z „doktryną partii”?

Gdy patrzę wokół siebie, widzę przede wszystkim liczne rzesze katolików. Często są to najlepsi, dla których każda filozofia jest zbyt cenna, a nawet każda teologia, jeżeli przez teologię rozumie się uczoną refleksję dotyczącą prawd wiary. Kościołowi potrzebna jest teologia, chrześcijaninowi religijna wiara i dogmaty, ale chrześcijanin może się zbawić nie będąc teologiem, a tym bardziej filozofem. Ci właśnie – i z całą pewnością jest ich najwięcej – nie są ani tomistami, ani zwolennikami jakichkolwiek „izmów”. Są chrześcijanami – to jest istotne i to im wystarczy.

Patrząc teraz od strony teologów i filozofów, wyznam, że przede wszystkim dostrzegam olbrzymi i szlachetny tłum augustynistów. Na wzór samego św. Augustyna zdążają oni ku Bogu poprzez jakiś rodzaj spekulatywnego pogłębienia swego życia religijnego i chrześcijańskiego. Ich dowody istnienia Boga są medytacją nad prawdą i światłem Słowa, w którym Go poznajemy; miłość, życzliwość, dobroć są – ich zdaniem – ważniejsze niż poznanie, natomiast tomistyczny intelektualizm odpycha ich swoją suchością, która ich mrozi. Gdyby zapytano mnie, czyja teologia wywarła najgłębszy wpływ na rozwój wielkich filozofii czasów nowożytnych, odpowiedziałbym bez wahania: teologia św. Augustyna. We Francji: Descartes, Pascal, Malebranche, Maine de Biran, Maurice Blondel – wszyscy oni noszą bardziej lub mniej głęboko wyciśniętą pieczęć, znamię augustynizmu. We Włoszech: Sigismond Gerdil, Rosmini-Serbati i Gioberti w sposób oryginalny kontynuowali, niejednokrotnie pogłębiając, augustynizm Malebranche'a. I bez wahania wskazać mogę kraje, w których – sądząc na podstawie wielkich, zrodzonych w tych krajach, doktryn nowożytnych – wpływ tomizmu pozostał słaby. W Anglii, a nawet w Niemczech, owej ziemi wybranej metafizycznej spekulacji, zupełnie nie interesowano się nauczaniem św. Tomasza z Akwinu. Poza szkołami teologicznymi, w ścisłym tego słowa znaczeniu, które stanowią przypadek szczególny, tomizm zupełnie nie miał uczniów. Nawet w Hiszpanii filozofia Balmesa jest raczej jakąś odmianą filozofii zdroworozsądkowej.

A co widzimy w szkołach filozofii i teologii chrześcijańskiej? Jeżeli się nie mylę, najbardziej licznym zakonem jest wspólnota powołująca się na św. Franciszka jako na swego założyciela, który wśród założycieli zakonów był najmniej filozofem i który nie był również w dużo większym stopniu teologiem. Nie podejmowałem wprawdzie szczegółowych badań w tym zakresie, nie sądzę jednak, aby zakon franciszkanów czy rodzina franciszkańska tworzyła szczególnie intensywny ośrodek teologii tomistycznej. Z całą pewnością istnieją zakony, które powołują się na św. Tomasza z Akwinu, ale w podobnych przy-

padkach trzeba zawsze pytać, o którego św. Tomasza chodzi. Albowiem może to być św. Tomasz przejrany i skorygowany przez Franciszka Suareza i takiego rzeczywiście nauczano w kolegiach Towarzystwa Jezusowego i – być może – naucza się tam jeszcze. Czcigodny ojciec Pedro Descogs, którego dobrze znałem, przeżyłby zachwianie swego powołania zakonnego, gdyby zażądano odeń zaakceptowania pewnych podstawowych tez tomistycznych, jak np. złożenie z istoty i istnienia w bycie skończonym.

Dobrze wiem, że istnieje Zakon św. Dominika, gdzie bycie tomistą wynika z faktu bycia dominikaninem, ale o doktrynę jakiego św. Tomasza tam chodzi? To może być, a często to rzeczywiście jest św. Tomasz, autor *Summy teologicznej*, atoli będziemy tam słyszeli samą *Summę* czy raczej towarzyszący jej komentarz Kajetana? Bo to nie jest to samo i nie można nauczać dwóch doktryn jednocześnie. Oczywiście są jeszcze inne tomizmy – do wyboru – wśród których możemy dokonywać czegoś w rodzaju opcji, niewątpliwie rozumnej, ale wolnej. Wiem również, że istnieje ujęcie historyczne – opierające się zresztą na najwyższych autorytetach Kościoła – według którego jedna i niepodzielna szkoła tomistyczna miałaby trwać od św. Tomasza do naszych dni. Osobiście sądzę, po wielu latach badań, że owa doktrynalna jedność szkoły tomistycznej była w dużym stopniu przesadzona. Natychmiast po śmierci mistrza, którego wszyscy zresztą szanowali i podziwiali, można było zauważyć tworzenie się tomizmów niejednokrotnie radykalnie odmiennych. Oto jeden przykład – typowy, jak sądzę – który uwolni mnie chyba od długich wywodów. Na początku XIV w. dominikanin Hervé Nédellec, generał zakonu, troskliwie czuwał nad tym, aby doktryna św. Tomasza była traktowana jako doktryna całego zakonu. Bycie dominikaninem było dla niego równoznaczne z byciem tomistą. Tymczasem, w swoich własnych pismach, odmawiał przyjęcia tezy, że byty skończone są rzeczywiście złożone z ich istoty oraz z odrębnego aktu, który byłby ich aktem istnienia. Odmówić złożenia z istoty i istnienia w bycie skończonym, co czynią liczni filozofowie i teologowie, to znaczy odrzucić to, co najbardziej osobiście tomistyczne w teologii św. Tomasza.

A przecież to nie tylko Hervé Nédellec, ale również wspomniany już Kajetan, którego komentarz zdobi tekst *Summy teologicznej* w Editio Leonina – obaj wielcy dominikanie odmawiali zaakceptowania powyższej tezy. Sam znałem wybitnych mistrzów w Zakonie św. Dominika wykładających doktrynę tomistyczną i jej podstawowe tezy bez poczynienia najmniejszej wzmianki o wyżej wspomnianej tezie fundamentalnej. Nie ganię ich; zabiegając o swoją własną wolność, bardzo bym chciał szanować wolność innych. Ale tu nie chodzi o filozoficzne czy teologiczne opinie; chodzi o fakt historyczny. Stawiamy pytanie: gdzie *de facto* nauczano autentycznej doktryny św. Tomasza z Akwinu? I sądzę, że mógłbym dowieść, iż nie wystarczy, że jakiś nauczyciel deklaruje się tomistą czy nawet jest przekonany, iż nim jest, aby być już pewnym, że ma się do czynienia z wiernym uczniem św. Tomasza. Pójdę nawet dalej.

Opierając się na swoim osobistym doświadczeniu, będę mógł zacytować dwie lub trzy ważne tezy św. Tomasza, których nigdy nie przytaczałem jako będące jego, nie cytowałem jego własnymi słowami i o których nie mówiłem nawet, czy były p r a d z i w e, a tylko, że były t o m i s t y c z n e, i wkrótce miałem jako oponentów wybitnych teologów, dominikanów bądź nie, w każdym razie tomistów, piszących w swoich tomistycznych pismach, aby oskarżyć mnie o ocieranie się o herezję.

Aby nie być gołosłownym, przedstawię Państwu dwie tezy św. Tomasza, których nie sposób zaprezentować, aby nie wywołać protestów pewnych umysłów zatroskanych o ortodoksję. Pierwsza, wywołująca nie kończące się kontrowersje, brzmi: „naturalnym pragnieniem każdego umysłu jest oglądanie Bożej substancji”. Zaryzykujcie jedynie ową tezę w dobrym towarzystwie teologicznym, a zobaczycie, co się Wam przydarzy. Nie proponuję, aby usiłować przedstawić tę tezę jako prawdziwą, a jedynie jako wyrażającą autentyczną myśl św. Tomasza. A przecież to właśnie św. Tomasz twierdził: „Omnis intellectus naturaliter desiderat divinae substantiae visionem” (*Cont. Gent.*, III, 57, 4). Gdy o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu, gdy inni odrzucają tę tezę; nie wierzę w autorytety filozoficzne, nie mam żadnego autorytetu teologicznego i, jak już mówiłem, szczególnie zależy mi na tym, aby wszyscy byli wolni. Głoszę jedynie rzecz następującą: jeżeli chcecie, możecie twierdzić, że umysł nie pragnie w s p o s ó b n a t u r a l n y (*naturaliter*) widzieć Boga; możecie nawet, jeżeli takie jest Wasze przekonanie, twierdzić, że nauczanie powyższej tezy jest rzeczą niebezpieczną dla wiary; nie podtrzymujcie jednakże, iż jest możliwe zanegować ją i mimo to być tomistą. Cała koncepcja św. Tomasza wchodzi tu w grę i żaden autorytet na świecie nie jest w stanie zmienić faktu, że on napisał to zdanie, wydrukowane w Editio Leonina jego dzieł zbiorowych. Nic na to nie można poradzić.

Drugi przykład – to doświadczenia, które weryfikuje się z całą pewnością. Na jakimś zgromadzeniu filozofów i teologów katolickich, tzn. tomistycznych, proszę powiedzieć, że to, czym Bóg jest, pozostaje nam całkowicie nie znane; możecie być pewni, że w następstwie zostaniecie oskarżeni o agnostycyzm. Sprawy wcale nie potoczą się lepiej, gdy szukając jakiegoś innego wyrażenia, powiecie: wiem dobrze, że Bóg istnieje, twierdzą jedynie, że t o, c z y m B ó g j e s t, pozostaje nie znane, a nawet całkowicie nie znane; mimo to będzie się powtarzało, że jesteście agnostykami, i nigdy nie uwolnicie się od tego oskarżenia. Niech będzie – nie mogę jednakże zaprzeczyć, że taka właśnie jest doktryna św. Tomasza z Akwinu. Wiemy, czym Bóg nie jest, stwierdza Doktor Powszechny w *Summie contra Gentiles* w Editio Leonina (III, 49, 9): „quid vero sit *penitus* manet incognitum”. Nie stwierdza: „źle znane”, „prawie nie znane”, lecz: „całkowicie nie znane”. Nie jest możliwe poznać coś mniej niż to, co jest dla nas *penitus incognitum*. „Omnino incognitum” – stwierdza w innym miejscu św. Tomasz (*In lib. de causis*, prop. 6); i

jeszcze: „sicut eius substantia est ignota, ita et esse” (*Q. D. de potentia*, 7, 2 ad 1m). Czy to jest prawda, czy nie? Moja osobista opinia w tej kwestii jest bez znaczenia; natomiast czymś zupełnie innym jest, czy św. Tomasz to twierdził, czy też nie. Tu zaś mogę zapewnić, iż żadne wahanie nie jest możliwe: twierdził to i powtarzał i, jeśli ktoś pretenduje do bycia tomistą, nauczając zarazem, iż wiemy, czym Bóg jest, nie będę przeczył, że byłoby to możliwe. Aby nie sprawiać mu kłopotu, zadowolę się wyznaniem, że nie rozumiem tego, co mówi.

Tak jednak się naucza i zwykle przedstawienie powyższych dwóch faktów – można by zacytować wiele innych – wystarczy, aby zrozumieć, co chcę powiedzieć sugerując, iż powszechny autorytet doktrynalny św. Tomasza z Akwinu jest w dużym stopniu raczej sprawą ogólnych zasad niż rzeczywistością bez wyjątków. Wyjątki są ewidentne, liczne, aktywne. Nie zamierzam tego tematu zanadto rozgrzewać, mógłbym jednak wykazać, jak wiele w tych wyjątkach jest agresji. Nigdy nie stawiałem komukolwiek zarzutu, że nie jest tomistą, ale sam często spotykałem się z takim zarzutem; zarzucano mi nawet, że chcę rozpałcić stopy inkwizycji, jak gdyby był jeszcze problem stosów w epoce krzesł elektrycznych! Nie potrzeba wielkiej rzeczy, aby zadziwić filozofa; konstatuję jedynie, że nasza więź ze św. Tomaszem nie jest tak prosta, jak wielu to sobie wyobraża. Ten, kto podejmuje się wysiłku odnalezienia prawdziwych poglądów Doktora Powszechnego – przedsięwzięcie długie, trudne i pełne ryzyka – u kresu swych badań widzi, iż przynależy do mniejszości w mniejszości.

Gdyby tylko mógł żywić nadzieję, że w owej mniejszości będzie miał zapewnioną ogólną aprobatę dla swego wysiłku! Mogłoby się wydawać, że jest to jakieś minimum, gdyż w końcu, jak Jego Świątobliwość papież Paweł VI przypomniał to jeszcze niedawno ojcom dominikanom Stanów Zjednoczonych, gdy w grę wchodzi św. Tomasz, rzecz idzie o obronę czegoś więcej niż on sam: „maius aliquid in S. Thoma quam S. Thomas suscipitur et defenditur”. Tymczasem nie sądzę, abym się mylił, żywiąc przekonanie, że jakiś rodzaj ofensywy antytomistycznej przygotowuje się w środowiskach, w których najmniej można się było tego spodziewać. Ponieważ osobiste doświadczenie jest w sposób naturalny tym, co nas najbardziej dotyka, proszę mi pozwolić, że przytoczę całkiem świeże, na podstawie którego zrozumieją Państwo, iż zainteresowało mnie ono w sposób szczególny.

Od lat kilku ukonstytuowało się w Quebecu stowarzyszenie mające na celu wsparcie wydania dzieł św. Tomasza w Editio Leonina. Trzy lub cztery lata temu stowarzyszenie to zaproponowało mi honorowe przewodniczenie, czego nie mogłem odmówić. W końcu r. 1963 lub na początku 1964 to samo stowarzyszenie zaprosiło mnie, abym wygłosił konferencję dla zainteresowania szerokiej publiczności przedsięwziętym dziełem oraz pozyskania mu zwolenników. Honorowy przewodniczący stowarzyszenia nie mógł się wymigiwać. Data kon-

ferencji była ustalona kilka miesięcy naprzód – na poniedziałek, 16 listopada, na godz. 20⁰⁰. 16 listopada rano ojciec dominikanin, jeden z moich przyjaciół, podał mi do rąk miejscowy dziennik, datowany tego samego dnia, który wielkim tytułem oznajmiał: „Kościół nie powinien przypisywać absolutnej wartości św. Tomaszowi”. Chciałbym wierzyć, że chodziło tu o zwykłą zbieżność, jednakże skłoniła mnie ona do refleksji. Jako życzenie na powitanie dla gościa, który przybył z Atlantyku, aby współpracować w dziele tak wybitnie eklezyjalnym, był to raczej środek uspokajający. Trzeba jednak umieć wyciągnąć korzyści ze wszystkiego i dzięki incydentowi mam przynajmniej jeden charakterystyczny przykład ruchu, który, nawet w wysokich kręgach, usiłuje raczej moderować naszą akceptację dla poglądów św. Tomasza z Akwinu.

Naturalnie, wszystkie te postawy mają jakąś przyczynę i głównym należałoby bliżej się przyjrzeć.

To, co mnie przede wszystkim uderza, to fakt, iż trudno się zorientować, o co naprawdę rzecz idzie. Nie należy, mówi się nam, aby Kościół opierał swoje nauczanie „na jednym doktorze”. Wyraża się zaniepokojenie, że św. Tomasz, filozof XIII w., jest przez wielu traktowany jako „oficjalny” teolog Kościoła katolickiego. O kogo może chodzić w tym zarzucie? Gdy chodzi o św. Tomasza *f i l o z o f a*, nie wiadomo, w jaki sposób mógłby on być *t e o l o g i e m* – oficjalnym czy nieoficjalnym – jakiegokolwiek bądź Kościoła. Dlatego też w tym właśnie miejscu narzuca się pierwsze uściślenie. Kościół jako taki nie naucza żadnej filozofii: tomistycznej, skotystycznej, suarezjańskiej czy innej. Filozofia jako taka należy do porządku tego, co czasowe; ona jest „z tego świata”, tak jak fizyka, biologia lub każda inna nauka o naturze. W tym względzie Kościół nie ma żadnej szczególnej odpowiedzialności: gdy Arystoteles wypracował swoją filozofię, Kościół chrześcijański jeszcze nie istniał i żaden myśliciel grecki nie mógł przewidzieć jego pojawienia się. Arystotelizm nie stał się religijnym objawieniem począwszy od XIII w. po Chrystusie i jak można było dostąpić zbawienia bez arystotelizmu w okresie pierwszych dwunastu wieków ery chrześcijańskiej, tak Ewangelia bez Arystotelesa musi wystarczyć jeszcze dziś dla zbawienia ludzkości. To samo odnosi się do jakiegokolwiek filozofii i jakiegokolwiek doktryny filozoficznej, nawet do św. Tomasza z Akwinu i do jego doktryny. Jeśli prawdą jest, że św. Tomasz stał się „oficjalnym” doktorem Kościoła – tak się mówi – to nie może nim być Tomasz filozof, lecz jedynie Tomasz teolog.

Skoro tak się rzecz ma, to dlaczego cały ów hałas *à propos* filozofii w ogóle, filozofii św. Tomasza w szczególności? Spróbuję na to pytanie udzielić odpowiedzi tak prostej, jak to tylko możliwe, jednakże elementy tejże odpowiedzi są bardzo skomplikowane, do tego nawet stopnia, że gdy rzecz idzie o detale, ich skomplikowanie sięga nieskończoności.

Główna idea odpowiedzi jest prosta: to nie Kościół zajmuje się nauczaniem filozofów, ale to filozofowie wciąż wtrącają się do nauczania Kościoła. Mógł-

bym przytaczać przykłady z tego, co dzieje się aktualnie, ale sprawiałoby to wrażenie, że angażuję się w polemikę. Proszę mi więc pozwolić, że zwrócę się ku przeszłości, ku historii. Gdy nasze osobiste emocje nie są zaangażowane, być może będziemy mogli dostrzec rzeczy w sposób bardziej wyraźny.

Lektura Indeksu ksiąg zakazanych jest zarazem zniechęcająca oraz pouczająca. Zniechęcająca, ponieważ zdajemy sobie sprawę z nieskuteczności owych potępień, jednakże jest to z wielu względów lektura kształcąca, przede wszystkim dlatego, że ze wszystkich filozofii niegdyś potępionych nie ma chyba ani jednej, która dziś byłaby wyznawana jako prawdziwa przez kogokolwiek. A przecież wówczas, gdy były głoszone, zwolennicy tych filozofii sądzili, iż niezbędne jest zrezygnowanie z teologii tradycyjnej, aby można było przystąpić do *aggiornamento* w teologii. W przypadku René Descartes'a nie rozumiem, dlaczego którekolwiek z jego dzieł miałyby być na Indeksie, rozumiem jednak bardzo dobrze, dlaczego doktryna ta traktowana była w Rzymie jako podejrzana. Przede wszystkim, poza wielkim matematykiem i bardzo oryginalnym filozofem, był w Kartezjuszu apostoł i reformator. Chciał reformować nauczanie w *collège*'ach, które podówczas wszystkie były w rękach zakonów. To właśnie w celu wyeliminowania z nich doktryny Arystotelesa napisał swoje *Zasady filozofii*, pojęte jako podręcznik na użytek szkół. Chciał nawet podać definicję cudu przeistoczenia bazującą na jego rozumieniu materii jako identycznej z rozciągłością, bez substancji i przypadłości. Z pewnością nie dostrzegacie w tym niczego złego. Ja również. Żadna filozofia – ani Kartezjusza, ani Arystotelesa nie ma za zadanie wyjaśnianie cudów; teolog może je tylko definiować. Zagadnienie, o którym myślę, jest inne. To mianowicie, że dwadzieścia lat po śmierci Kartezjusza jego fizyka była przestarzała, jego pojęcie rozciągłości zastąpiono innym, takie zaś pojęcia jak substancja lub forma, które – w przekonaniu Kartezjusza – należały do nieaktualnej już przeszłości, odnalezły się, odrestaurowane przez Leibniza, w nowej interpretacji. Gdy nowożytna filozofia była zdominowana przez Descartes'a, należałoby konstruować teologię kartezjańską po to, by ją zastąpić – po dwudziestu latach – przez teologię leibnizjańską.

Jakiejże następnej teologii trzeba było, aby być w zgodzie z aktualnie panującą filozofią? Dostrzegam taką jedną, całkowicie gotową; jej twórcą był Nicolas Malebranche, oratorianin. Było zresztą bardzo wielu teologów malebranchystów. Jeszcze w XVIII w. pimoncki teolog i filozof Sigismond Gerdil dał wspaniały skrót doktryny Malebranche'a, będący modelem w swoim rodzaju. Jednakże fundamentem malebranchyzmu była teza, że „tylko Bóg jest przyczyną”; nie istnieją przyczyny drugie, z wyjątkiem okazjonalnych, gdyż one same są całkowicie pozbawione skuteczności. Kto dziś nauczałby podobnej doktryny? Nikt. Była więc potrzeba znowu jakiejś innej teologii, aby zastąpić poprzednią. Jakiej teologii? Wspaniali chrześcijanie, mało powiedzcie: katolicy, ba – czcigodni księża zaproponowali Kanta. Książd Louis Bautain, pro-

fesor teologii w Strasburgu, szczególnie doradzał Kanta, ponieważ – zdaniem tegoż filozofa – „nie istnieją możliwe dowody na istnienie Boga”. Pozostawała więc jedynie świadomość moralna oraz wiara. Załóżmy, że teologia ta odniosłaby triumf – gdzie to byłibyśmy dziś? Nie widzę nic ryzykownego w tym, że ktoś myśli w ten sposób dla samego siebie i w tym, co jego dotyczy, widziałbym jednak poważne zagrożenia, gdyby chciano mi narzucić tę teologię jako teologię Kościoła. Nie tylko bowiem sądzę, że istnieją pozytywne racje filozoficzne, aby stwierdzić istnienie Boga, ale uważam nieistnienie Boga za niepojmowalne. Wiem doskonale, że są ateści – lub ludzie, którzy uważają się za takich – jednakże gdy o mnie chodzi, dysponuję bardzo prostym środkiem, aby postawić mój rozum w obecności filozoficznego problemu Boga, a mianowicie zadać sobie pytanie: jak to się dzieje, że coś istnieje? Powiedzą mi, że to nie jest problem, i rzeczywiście, to nie jest problem nauk matematyczno-przyrodniczych, albowiem gdyby nic nie istniało, nie byłoby ani nauki, ani uczonych, nic do poznania ani nikogo, aby poznawał; lecz jest to problem metafizyczny, tenże sam, który jeden z twórców nowożytnej matematyki, Leibniz, postawił niegdyś w pamiętnych słowach: „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?” Martin Heidegger, najbardziej metafizyczny umysł naszych czasów, wielokrotnie powracał do tych słów, do których – ciągle z Leibnizem – dodaje: „tym bardziej, że nic jest łatwiejsze”.

Ten ostatni człon zdania zostawiam Państwu, abyście się nie nudzili wieczorem, zanim pójdziecie spać. Kontynuując jednak podjęty temat, powracam do tego, o czym już mówiłem: któż zadowoliliby się dziś teologią kantowską? Nikt. Od czasów Kanta mieliśmy teologię hegeliańską, teologię bergsonowską, teologię blondeliańską, również w Italii była teologia giobertyńska, teologia mniej lub bardziej gentylińska i tak dalej w nieskończoność. Być może zapytają mnie Państwo, jaka w tym miałyby się znajdować niedogodność. Po prostu taka oto. Teologia chrześcijańska jest interpretacją chrześcijańskiej wiary jako prawdy słowa Bożego, prawdy objawionej przez niezmiennego Boga. Nie jest konieczne, aby interpretacja ta była naukowa. Nasz umiłowany papież Jan XXIII powiedział mi kiedyś: „Wie pan, dla mnie teologia to *Ojciec nasz, któryś jest w niebie...*” Dotyczy to również nas wszystkich, lecz wypowiadać „Ojciec nasz” to wyznawać, że „wierzymy w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego”, i jakkolwiek jest nasza teologia, potrzeba – by być chrześcijaninem – aby uzasadniała ona naszą wiarę w Boga Ewangelii. Żadna teologia, która nie naucza tej prawdy, nie może nazywać się chrześcijańską; ta zaś, która najlepiej naświetli tę prawdę wiary oraz wszystkie te, które formułuje *Credo*, będzie w sposób oczywisty dla Kościoła teologią najlepszą, najdoskonalszą, najbardziej totalnie prawdziwą. Otóż Kościół po prostu ogłosił, że teologią, w której on odnajduje najwierniejszą interpretację wiary, której jest depozy-

tariuszem, za którą ponosi odpowiedzialność i której strzeże, jest teologia św. Tomasza z Akwinu⁴.

Dobrze znam zarzut: a więc chce pan zaprowadzić nas z powrotem do filozofii Arystotelesa! Jak to powiedział niedawno jeden czcigodny prałat: „Dialog ze średniowieczem nie jest dialogiem ze światem współczesnym”. Zgadzam się z tym, chciałbym jednak poczynić dwie uwagi.

Przede wszystkim – chociaż słowo „dialog” jest modne, trochę mu nie ufam. Do dialogu muszą być dwie strony. Tak daleko, jak potrafię sięgnąć w moją przeszłość, widzę siebie tak chciwie otwartego na czasy, w których żyłem, jak to tylko mogło być możliwe. Od samego początku sądziłem, że zanim zaczniesz uprawiać filozofię, należy najpierw nauczyć się tej, która już istniała; poświęciłem więc dużą część mojego życia na studiowanie oraz nauczanie historii filozofii i tego nie żałuję. Przeczytałem prawie wszystkie znaczące dzieła filozofii zachodniej, starożytne i nowożytne, opublikowałem książki o Descartes'ie, po części napisałem oraz kierowałem ogólną historią filozofii; proszę mi wybaczyć tę listę, ale chcę jedynie powiedzieć, że o ile jestem gotów do rozmawiania o ich filozofiach z innymi, to wystarczy, iż chcę im powiedzieć o tomizmie, aby odpowiedzieli mi z miłym uśmiechem: „Tak, tak, to bardzo interesujące; miał pan rację, zwracając na niego uwagę”. Chciałbym jednak wiedzieć, ilu moich współczesnych zainspirowałem do tego, aby oni sami przeczytali któreś z dzieł Tomasza z Akwinu. I nie wierzę, aby mój przypadek był jedyny. To nie tomiści odmawiają dialogu z ich czasem, to ich czas odmawia dialogu z nimi.

Druga moja uwaga jest następująca: nikt nie ma zamiaru sprowadzania naszych współczesnych do XIII w. – ani do jego nauk przyrodniczych, ani do jego filozofii. Zdaję sobie doskonale sprawę, że nie jesteśmy już w epoce fizyki jakościowej Arystotelesa ani astronomii geocentrycznej Greków. Ale do jakiej nauki chcieliby Państwo nas sprowadzić? Ta Newtona – pozostała w tyle, Einsteina – została już włączona w bardziej ogólną koncepcję natury, gdy zaś chodzi o kosmografię – wraz z kwazarami jesteśmy na początku zawrotnej rewolucji w naszym pojmowaniu wszechświata. Lecz jakie jest powiązanie między tomizmem, który Kościół nam poleca, a jakimkolwiek bądź stanem nauki? Wszystko, co Kościół chce, abyśmy na ten temat zaakceptowali, to to, że świat jest stworzony przez Boga z niczego. To nie jest teza nauk matematyczno-przyrodniczych. Nauki te nie dysponują żadnym środkiem, aby dowiedzieć się, czy jest to prawda czy nie. Jeśli to jest prawda, to wszechświat stworzony przez Boga jest tym, który poznaje nauka w miarę,

⁴ Sobór Watykański II w *Dekrecie o formacji kapłańskiej* „*Optatam totius*”, nr 16 ([w:] *Sobór Watykański II. Konstytucje, dekryty, deklaracje*, Poznań 1968) naucza: „[...] dla możliwie pełnego wyjaśnienia tajemnic zbawienia niech się alumni uczą głębiej w nie wnikać i wykrywać między nimi związek za pomocą spekulacji, mając tu za mistrza św. Tomasza”.

jak go poznaje. W odniesieniu do teologicznego pojęcia stworzenia wszystkie następujące po sobie wszechświaty nauki są równoważne. Krótko mówiąc, wszechświat stworzony przez Boga jest tym, który opisuje nauka, jakkolwiek by on był oraz jakkolwiek by ona była.

To, co jest prawdą odnośnie do nauk matematyczno-przyrodniczych, jest nią również odnośnie do filozofii. Doktryny tak szybko następują jedna po drugiej, iż akceptując jedną jako prawdziwą, możemy być pewni, że wkrótce przestanie nią być. Gdy miałem lat dwadzieścia:

Sądził Bergson, że wszystkich olśniewa,
A dzisiaj Heidegger pierwszy staje w rzędzie
I tak, że rozgłos onego przyćmiewa⁵.

Owa zmienność filozofii oraz nauk matematyczno-przyrodniczych jest odpowiedzią na rzeczywiste potrzeby, natomiast Kościół chciał ustalić jedną teologię jako świadka, jako centrum niezmiennego odniesienia, chociaż bowiem cała reszta zmienia się, prawda przez Kościół strzeżona nie ulega zmianie.

Jest to prawda Bożego słowa, wypowiedzianego w Piśmie św.: niebo i ziemia przeminą, ale słowo Boga nie przeminie. I wobec tego myślę, że to my, chrześcijanie – filozofowie lub teologowie czy też jedni i drudzy – winniśmy przebadać swoje własne dzieje, obawiam się bowiem, że ponosimy winę za gromadzone złudzenia oraz mnożone, dla nas i dla innych, niepotrzebne trudności.

Mówiliśmy i powtarzaliśmy na wszystkie sposoby przez wieki, że filozofia św. Tomasza z Akwinu była filozofią Arystotelesa. Ci, którzy to mówili, wreszcie na to przystali, a co gorsza – oni sami w to uwierzyli. Wielu wierzy w to jeszcze dziś do tego stopnia, iż uważają prawie za herezję tezę wszakże prawdziwą, że filozofia św. Tomasza z Akwinu *n i e j e s t* filozofią Arystotelesa. Język jest ten sam, technika dowodzenia jest podobna, ale zawartość doktryny jest odmienna. Abstrahując od rozważań ściśle teologicznych, Arystoteles nie naucza, że jest jeden Bóg, że Bóg ten jest czystym aktem istnienia, że stworzył On świat z niczego, że podtrzymuje ten świat w jego rzeczywistym istnieniu i z tej racji Bóg jest wewnątrznie obecny we wszystkim, co

⁵ Jest to trawestacja *Boskiej komedii* Dantego Alighieri (tł. [z jęz. wł.] E. Porębowicz, Warszawa 1965, s. 220):

Sądził Cimabue, że wszystkich olśniewa,
A dzisiaj Giotto pierwszy staje w rzędzie
I tak, że rozgłos onego przyćmiewa.

(*Czyściec*, pieśń 11, 94-96)

jest; że stworzył On człowieka na swój obraz i podobieństwo, że obrazem Boga w człowieku jest intelekt (dusza), że spełnieniem (celem) intelektu jest oglądanie Boga, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, a więc zdolna do zażywania wiecznej szczęśliwości. O tym wszystkim, czego naucza św. Tomasz, Arystoteles nie wiedział nic i jeżeli Arystoteles wie tyle, ile wie filozofia, to filozofia o powyższym nie wie nic.

Cóż więc uczynił św. Tomasz z Akwinu? On sam to mówił i powtarzał, ale – jak to zauważył Dominik Bañez – co zresztą zdarzało się często: „et hoc est quod saepissime clamat divus Thomas, et Thomistae nolunt audire”. W sposób szczególny wyjaśnił to na początku *Summy contra Gentiles*, którą określa się przecież tak często jako „filozoficzna”: „Nade wszystko będziemy usiłowali uwyraźnić prawdę, którą wyznaje wiara, a którą rozum poddaje pod swój osąd. Przedstawimy racje przekonujące oraz prawdopodobne, które będziemy czerpać z prac niektórych filozofów oraz chrześcijan, w celu potwierdzenia prawdy oraz przekonania przeciwnika” (C. G., I, 9). To nie medytując nad Arystotelesem stał się Tomasz twórcą swojej własnej doktryny, ale w refleksji nad Pismem św., oczywiście korzystając z filozofii Arystotelesa, ale również z każdej innej filozoficznej prawdy, którą dysponował, nade wszystko zaś korzystając z własnego rozumu⁶.

Ale – powie ktoś – przecież to jest teologia! Z całą pewnością i św. Tomasz nigdy nie twierdził, że było to coś innego. A zatem – wysuwa się wówczas zarzut – to nie jest filozofia! A dlaczego to miałyby nią nie być? Z jakiego to powodu teolog miałby być niezdolny do używania swego rozumu równie dobrze jak filozof? Czemu to miałby przestać go używać w sposób poprawny i uprawomocniony wówczas, gdy wierząc w coś na podstawie słowa objawionego przez Boga, z całym spokojem oraz pełną wolnością postawi sobie pytanie: co wiem o tym, w co wierzę? Gdy nic nie wie, odpowie: o tym nie wiem nic, i będzie trwał w wierze. Jeżeli zaś jest przekonany, że coś wie, odpowie: oto, co wiem o tej prawdzie, a w pozostałe będzie wierzył. To właśnie pytając się, co wiedział o tym, w co wierzył, doszedł Tomasz do owego zbioru prawd rozumowo dowiedzionych, które dziś nazywamy filozofią św. Tomasza z Akwinu.

⁶ Na św. Tomasza jako na szczególny wzór rozróżniania oraz łączenia prawdy rozumu i wiary wskazuje również Sobór Watykański II w *Deklaracji o wychowaniu chrześcijańskim* „*Gravissimum educationis*”, nr 10 ([w:] *Sobór Watykański II. Konstytucje, dekryty, deklaracje*). Mianowicie Sobór zaleca rozwijanie dyscyplin naukowych w uczelniach wyższych tak, „iżby z dnia na dzień można było osiągnąć głębsze ich zrozumienie i aby po najdokładniejszym rozważeniu nowych problemów i badań bieżącej doby można głębiej poznać, w jaki sposób wiara i rozum prowadzą do jednej prawdy, podążając tu śladami Doktorów Kościoła, a szczególnie św. Tomasza z Akwinu”.

Na podstawie powyższego zrozumiałe jest, że Kościół przyznaje tejże filozofii oraz teologii, której ta filozofia jest częścią, uprzywilejowany autorytet oraz trwałą wartość, czego nie czyni w stosunku do żadnej innej⁷.

Kościół więc nikomu nie odmawia prawa do uprawiania filozofii na swój własny sposób. Nie wypowiada się na temat takiej lub innej logiki, nie opiniuje filozofii nauk ani zresztą w ogóle jakiegokolwiek doktryny filozoficznej dopóty, dopóki te doktryny bądź ich zbyt gorliwi wyznawcy nie roszczą sobie pretensji do wyrażania prawdy, którą Kościół uznaje za własną lub też za którą jest odpowiedzialny. Odpowiedzialnymi za wiele potępień nie są twórcy oskarżanych doktryn, ale ci, którzy uparcie podtrzymują, że te doktryny przedstawiają prawdę wiary lub że stanowią jej prawomocną interpretację. Podtrzymując, że jakaś doktryna jest prawdziwa, niechybnie doprowadzają do jej ocenzurowania.

Cóż zatem winniśmy czynić? Tym, którzy odmawiają tomizmowi wszelkich aktualnych wartości filozoficznych, chcę po prostu postawić pytanie: ile czasu poświęcili na jego przestudiowanie? Jeśli podjęli niezbędny wysiłek i jeżeli są pewni, że dobrze zrozumieli doktrynę, nie wstawiając nieświadomie w jej miejsce jednej z jej licznych wersji przejranych i skorygowanych przez jej interpretatorów, wówczas przyczyna jest zrozumiała: tomizm nie jest dla nich. Pozostały im inne filozofie, lepiej dostosowane do ich potrzeb.

Tym, do których grona sam należę, dla których tomizm stanowi wybraną i ulubioną intelektualną strawę, pozwolę sobie dać jedną tylko radę: brać go takim, jaki jest, i prezentować go takim, jaki jest, bez usiłowania czynienia z niego czegoś innego. Najgorsze, co moglibyśmy uczynić, to przedstawiać go jako filozofię istniejącej rzeczywistości (*une philosophie de la nature*) pozbawioną wszelkich więzi z religijną wiarą, którą św. Tomasz, brat Zakonu Kaznodziejskiego, rozważał każdego dnia i prawie każdej godziny. Ci, którzy w ten sposób zmieniają fizjonomię tomizmu w nadziei pozyskania poprzez filozofię zwolenników dla chrześcijaństwa, chociaż żywią sympatię dla celu, jaki chcą osiągnąć, wydaje mi się, iż obrali złą drogę dla jego osiągnięcia. Bóg nie chciał zbawić ludzi doktryną Arystotelesa, lecz swoim słowem. Tomasz z Akwinu medytując nad słowem Boga, w sposób właściwy

⁷ Kongregacja Wychowania Katolickiego 20 I 1972 r. opublikowała dokument zatytułowany *O nauczaniu filozofii w seminariach*, w którym wyraźnie wskazuje się na wartość doktryny Akwinaty. Czytamy w nim m.in.: „W tym znaczeniu są w pełni uzasadnione i zachowują swą trwałą wartość ponawiane zalecenia Kościoła dotyczące filozofii św. Tomasza, w której te pierwsze zasady prawdy naturalnej są wyrażone jasno i organicznie, w harmonii z objawieniem, [...]” (cyt. za: E. S z t a f r o w s k i, *Posoborowe prawodawstwo kościelne*, t. 5, z. 2, Warszawa 1974, nr 9489).

filozofowi, zaprowadził metafizykę dalej niż Arystoteles. Tak znacznie dalej, że najlepsi wśród nam współczesnych nie dają już nawet rady, aby go dosięgnąć. Moim zdaniem wyprzedził on najodważniejszych spośród tych, z którymi proponuje mi się, abym go wyprzedzał. Nie mogę pojąć, aby ktokolwiek mógł iść za nim aż do kresu jego olśniewającej metafizyki aktu istnienia, nie odczuwając pragnienia pozostania tam zawsze wraz z nim.

Przełożył

ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkinel